



R Dziedzictwo dawnej Rzeczypospolitej

Dodatek edukacyjny dla dzieci i młodzieży w ramach Magazynu Historycznego „Mówią wieki” o dziedzictwie kulturowym dawnej Rzeczypospolitej

Panowie bracia

Wielmożny, jaśnie wielmożny, oświecony, ekscelencjo, waszmość panie, łaskawco, dobrodzieju, panie bracie, panie – to tylko niektóre określenia, jakimi tytułowano polskich szlachciców. O zwroty dbano i skrupulatnie przestrzegano, by były one dostosowane do okoliczności oraz pozycji tytułowanego i tytułującego. Określenia te dodawano do posiadanych urzędów – tych centralnych, senatorskich i ziemskich, tych faktycznych i tych tytularnych. Kiedy zabrakło tytułów, odwoływano się do ojcowskich zasług. Dlatego tak wielu wojewodzciców, starościców, chorążyców, cześnikowiców czy miernych miecznikowiców.

A kiedy i tego zbrakło, to przynajmniej starano się dodawać zasługę – chociażby i na nagrobne inskrypcji – w typie *stawał w beresteckiej potrzebie*.

Tytuł czy zasługa wyróżniały szlachcica z wcale liczego tłumu szlachetnie urodzonych. Ale słowo „pan” ostało się w języku potocznym do dnia dzisiejszego. A owi panowie – dla siebie i pośledniej urodzonych – w drugiej połowie XVII stulecia wojowali na całego ze wszystkimi prawie sąsiadami. Walczyli z heretykami, schizmatykami czy wyznawcami Allaha – i na przekór wszystkiemu zwyciężali (choć nie brakło i sromotnych klęsk). Bez wątplenia na sukcesy polskiej szabli i husarskiej kopii nie miały wpływ miało przeświadczenie o obronie chrześcijaństwa przed „lutrami i bisurmanami”. Wzrostowi religijności towarzyszył rozkwit barokowej sztuki z jej rodzimym sarmackim obliczem, którego najlepszym wyróżnikiem był wzorowany na orientalnym strój.

I tylko należy żałować, że ci, którzy tylekroć ratowali kraj i dzielnie walczyli z zewnętrznym wrogiem, sami doprowadzili do wielkiego kryzysu, którego efektem było przekreślenie tak potrzebnych reform i zanarchizowanie Rzeczypospolitej.

Wojciech Kalwat

Sprostowanie

W poprzednim numerze Dziejów Dawnej Rzeczypospolitej w artykule Michała Kopczyńskiego pt. *Rezydencje jaśnie oświeconych* znalazł się błąd: zamek Krzyżtopór w Ujeździe został wzniesiony przez wojewodę sandomierskiego Krzysztofa Ossolińskiego, a nie Opalińskiego, jak napisano w tekście. Za pomyłkę bardzo przepraszamy.

Projekt dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Promocja literatury i czytelnictwa – Czasopisma

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Spis treści

Tomasz Bohun, Początek upadku. Rzeczpospolita w drugiej połowie XVII wieku	II
Janusz Tazbir, Antemurale	V
Jarosław Dumanowski, Szczupak króla Stanisława i kuchnia z kalendarza	VIII
Bartłomiej Gutowski, Architektura <i>civilis</i>	IX
Wojciech Kalwat, Pieniądz na trudne czasy	XII
Anna Straszewska, Orientalizm ubioru	XV

Początek upadku

Rzeczpospolita w drugiej połowie XVII wieku

Wojny, które Rzeczpospolita toczyła w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XVII wieku – doprowadziły kraj do ruiny. Spustoszona została właściwie każda prowincja państwa polsko-litewskiego.

Pierwszym kataklizmem było powstanie kozackie Bohdana Chmielnickiego, które w 1648 roku ogarnęło Ukrainę. Tragizm sytuacji polegał na tym, że kozacka insurekcja rozpoczęła się podczas *interregnum* – po śmierci Władysława IV i przed elekcją Jana Kazimierza. To nie była już lokalna ruchawka części starszyny kozackiej: do mołojców przyłączyło się ruskie chłopstwo, które krwawo zaczęło rugować z Ukrainy szlachtę, Kościół katolicki i Żydów. W ciągu kilku lat polska władza została zmieciona, a Kozacy, szukając sojusznika, zawarli w 1654 roku w Perejasławiu ugodę z carem Aleksym Michajłowiczem. Oznaczało to umiędzynarodowienie konfliktu, a Rosja, widząc osłabienie Rzeczypospolitej, rozpoczęła z nią otwartą wojnę. Szybko padł Smoleńsk, a wojska carskie opanowały Wilno i niemal całe terytorium Wielkiego Księstwa Litewskiego.

W 1655 roku na Rzeczpospolitą spadł niszczycielski najazd szwedzki. Państwo stanęło na krawędzi katastrofy. Armia Karola Gustawa bez większego trudu opanowała terytorium Korony i Inflant (w tym czasie Litwę niemiłosiernie pustoszyli Rosjanie, a na Ukrainie rządzą Kozacy Chmielnickiego), Jan Kazimierz uciekł na Śląsk, a większość szlachty i możnych poddała się Szwedom. To był precedens w dziejach Rzeczypospolitej, mało tego, Szwedzi wpadli na pomysł, aby wspólnie z Chmielnickim i Jerzym Rakoczym dokonać rozbioru państwa polsko-litewskiego.



Daniel Schultz, portret Jana Kazimierza Wazy, fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Na szczęście nic z tego nie wyszło, a ogień oporu szybko się rozpałił i szwedzkiego najeźdźcę udało się wyprzeć z granic państwa. Do stabilizacji było jednak daleko. Jan Kazimierz wprawdzie odzyskał władzę, jednak kraj był w katastrofalnym stanie: wiele miast, w tym Warszawa, uległo zniszczeniu, a ludność w wyniku działań wojennych, a przede wszystkim towarzyszącym im klęskom elementarnym (głód i epidemie) stopniała z 8 do 4 mln. W wyniku pokoju oliwskiego w 1660 roku i potwierdzenia postanowień traktatów wewlasko-bydgoskich z elektorem pruskim pogorszyła się też sytuacja geopolityczna Rzeczypospolitej w regionie, bowiem Prusy, choć formalnie związane sojuszem z państwem polsko-litewskim, uzyskały niezależność.

KRÓL PIAST

Również w następnych latach nie było spokojnie. Prawda, Janowi Kazimierzowi na chwilę udało się przerwać wojnę z Moskwą, a po śmierci Chmielnickiego zawrzeć porozumienie z częścią kozaczyzny (w 1658 roku podpisano ugodę hadziacką, przewidującą utworzenie Rzeczypospolitej Trojga Narodów), jednak monarsze ambicje wzmocnienia władzy i zapewnienia Wazom dziedzicznego tronu doprowadziły do wojny domowej. Inna sprawa, że król nie potrafił przekonać szlachty do swoich planów wzmocnienia państwa i, wykorzystując rywalizację koterii magnackich, pogłębił kryzys systemu parlamentarnego.

W latach sześćdziesiątych XVII wieku właśnie z powodu królewskich planów ograniczenia *liberum veto* oraz elekcji *vivente rege* doszło do zaostrzenia konfliktu między dworem a wpływowym marszałkiem koronnym Jerzym Lubomirskim, który liderował Związkowi Święconemu, zawiązanemu przez nieopłacone wojska koronne (współdziałała z nimi część wojsk litewskich). W 1664 roku Lubomirski rozpoczął rokosz, a dwa lata później pod Mątwami doszło do rozstrzygającej bitwy: w krwawym starciu górę wzięły wojska Lubomirskiego. Król zmuszony był zawrzeć ugodę z rokoszanami, która przewidywała wyrzeczenie się przez niego wszystkich planów elekcji *vivente rege* i reform ustrojowych, wypłatę żołdu konfederatom oraz amnestię dla rokoszan, w tym Lubomirskiego. To była kompromitacja Jana Kazimierza, który abdykował we wrześniu 1668 roku.

Rzeczpospolita znalazła się na rozdrożu, bowiem abdykacja monarchy była pierwszym tego rodzaju aktem w dziejach państwa. Kraj nie tylko był podzielony politycznie, ale tracił znaczenie na arenie międzynarodowej. Do tego doszły straty terytorialne po rozejmie andruszowskim, który potwierdził utratę na rzecz Rosji Smoleńszczyzny, Czernichowszczyzny oraz Zadnieprza z Kijowem (formalnie na dwa lata). Na domiar złego, Rzeczypospolitej zaczęła zagrażać Turcja. W tej sytuacji niezwykle popularna stała się koncepcja wybrania królem „Piasta”, czyli kandydata rodzimego. W ten sposób w maju 1669 roku szlachta po-



Andrzej Stech i Ferdinand von Kessel, *Bitwa pod Chocimiem*,
fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

wierzyła tron Michałowi Korybutowi Wiśniowieckiemu, synowi księcia Jaremy, który w początkowym okresie powstania Chmielnickiego jako jeden z niewielu nie opuścił rąk i stawiał opór buntownikom; wyprowadził m.in. z Zadnieprza dziesiątki tysięcy szlachty i Żydów.

KRÓL WOJOWNIK

Niestety jego panowanie trudno zaliczyć do udanych. Nowy władca był pozbawiony nie tylko talentów monarszych, ale także wizji politycznej. Słowem, był niegroźny dla szlachty i nie w głowie mu były absolutystyczne ekstrawagancje w stylu Jana Kazimierza. Złowieszczą zapowiedzią stagnacji politycznej stało się zerwanie obrad sejmu koronacyjnego w listopadzie 1669 roku (było to pierwsze klasyczne zastosowanie *liberum veto* – zerwano obrady sejmowe w izbie poselskiej).

Opozycja, której jednym z liderów był hetman koronny Jan Sobieski, nie tylko torpedowała jakiegokolwiek propozycje obozu królewskiego, ale także domagała się abdykacji monarchy. W 1672 roku kraj ponownie stanął w obliczu wojny domowej, bowiem regaliści, w odpowiedzi na zawiązaną przez malkontentów konfederację szczebrzeszyńską, zawiązali konfederację gołąbską. Do starcia nie doszło jedynie dlatego, że na Podolu zaatakowali Turcy, którzy opanowali strategiczną twierdzę w Kamieńcu Podolskim i zmusili polskich komisarzy do podpisania haniebnego pokoju w Buczaczu. To otrzeźwiło zwaśnione obozy polityczne.

Wiśniowiecki do śmierci zwlekał z zatwierdzeniem postanowień traktatu, a na początku 1673 roku na sejmie pacyfikacyjnym, doszło do porozumienia z opozycją. Jesienią tego roku Sobieskiemu udało się odwrócić losy wojny z Turcją: 11 listopada pod Chocimiem czterdziestotysięczna armia hetmana rozgromiła sześćdziesięciotysięczną potęgę turecką. Dzień wcześniej zmarł Michał Korybut Wiśniowiecki.



Józef Brandt, *Bitwa pod Wiedniem (fragment)*,
 fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Szlachta uznała, że Sobieski, pogromca Turków, jest jedynym godnym następcą zmarłego władcy. Wybrany na króla 21 maja 1674 roku, został jednak koronowany dopiero w roku 1676. Jako lider stronnictwa profrancuskiego próbował odwrócić sojusz z Habsburgami, który od pokoleń wiązał ręce Rzeczypospolitej; wiążąc się z Francją i Szwecją, próbował prowadzić realną politykę bałtycką. Niestety, Ludwik XIV wycofał się ze wspierania w tej sprawie polskiego króla, a opozycja w kraju, zainteresowana kontynuowaniem wojny z Turcją, zmusiła go walki o odzyskanie prowincji utraconych na południu.

ZWYCIĘSTWO I KLĘSKI

W 1683 roku miało miejsce jedno z największych zwycięstw polskiego oręża: wiktoria wiedeńska. Poprzedziły ją reformy armii, którym sprzyjała europejska koniunktura na zboże. Sobieski zwiększył liczbę husarii jako siły przełamującej kawalerię przeciwnika, oraz piechoty i dragonii. Inteligentnie obsadzał stanowiska dowódcze w korpusie oficerskim. Sprytnie poradził sobie także z opozycją, rozbijając jej jedność poprzez nadawanie swoim wpływowym przeciwnikom wysokich urzędów i dygnitarstw: np. Stanisław Jabłonowski otrzymał buławę wielką koronną, Mikołaj Sieniawski pełną koronną, Kazimierz Jan Sapieha wielką litewską, a Hieronim Lubomirski łaskę marszałkowską.

31 marca 1683 roku Sobieski zawarł z cesarzem Leopoldem I sojusz przeciwko Turcji. Szybkość przygotowania i przeprowadzenia kampanii wojennej była imponująca.

Królowi udało się zebrać okazałą siłę – 27 tys. żołnierzy – i w nieco ponad tydzień pokonać ok. 400 km. 12 września wojska koronne po połączeniu się z armią cesarską rozbiły u bram Wiednia obleganą go siedemdziesięcioletnią armię Kara Mustafy. Sukces militarny był ogromny, jednak efekty polityczne dla Rzeczypospolitej mizerne. W ramach Ligi Świętej, zawiązanej pod patronatem papieża Innocentego XI, państwo polsko-litewskie nie odgrywało wiodącej roli. Prawda, po latach długotrwałych bojów udało się odzyskać Podole – sankcjonujący to traktat karłowicki z 1699 roku został podpisany po śmierci Sobieskiego – jednak królowi nie udało się opanować Mołdawii, z której zamierzał uczynić dziedziczne księstwo dla swojej dynastii. Co gorsza, w maju 1686 roku w wyniku tzw. traktatu Grzymułtowskiego Rzeczpospolita musiała się rzec na korzyść Rosji lewobrzeżnej Ukrainy z Kijowem, Smoleńszczyzny, Siewierszczyzny i Czernichowszczyzny. Ponadto, Moskwa pod pretekstem obrony prawosławia zyskała możliwość ingerencji w wewnętrzne sprawy Polski. To był definitywny koniec dominacji Rzeczypospolitej w Europie Środkowo-Wschodniej.

Jan III Sobieski zmarł 17 czerwca 1696 roku w Wilanowie. Koniec jego panowania to symboliczny moment w historii państwa polsko-litewskiego, oznaczający początek stopniowej utraty samodzielności na arenie międzynarodowej. Będzie to długi i bolesny proces, który zakończy się u schyłku XVIII tragedią rozbiorów. □

Antemurale

Tekst pochodzi ze zbioru *Węzły pamięci niepodległej Polski*, Kraków–Warszawa 2014, wydanego przez Fundację Węzły Pamięci, Muzeum Historii Polski i Wydawnictwo Znak, Kraków–Warszawa 2014, s. 44–47. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Pojęcie przedmurza chrześcijaństwa niemal od początku posiadało podwójne ostrze: wyznaniowe (skoro pojmowano je jako barierę przeciwko islamowi) i cywilizacyjno-polityczne (gdyż miało stanowić zaporę chroniącą europejską cywilizację przed azjatyckim barbarzyństwem). Od połowy XV wieku aż do bitwy pod Wiedniem przypomnienie *antemurale* służyło polskiej racji stanu, ułatwiając uzyskiwanie pieniędzy, posiłków wojskowych oraz wsparcia politycznego nie tylko na walkę z Turcją, lecz również z Moskwą czy Szwecją. Natomiast Rzym aż do bitwy pod Cecorą (1620) patrzył ze sceptycyzmem na strojenie się w szaty obrońcy *antemurale* kraju, który nie chciał wejść do ligi antytureckiej.

Choć w XVII stuleciu Rzeczpospolita walczyła przede wszystkim w obronie swoich granic, to jednak na zachodzie Europy uwierzono, że jej klęska może oznaczać zalanie sąsiednich krajów nie tylko przez Turków, ale również Tatarów czy przez mieszkańców państwa moskiewskiego. A przecież w XV–XVII wieku ani chanat, ani też Rosja nie miały zamiaru ani odpowiednich sił po temu, by posunąć swą ekspansję w głąb kontynentu. Tatarzy nigdy nie przyłączyli ani skrawka ziem Rzeczypospolitej, wojska rosyjskie dopiero w okresie wojny siedmioletniej (1756–1763) posunęły się w głąb Niemiec, a w początkach następnego stulecia dotarły aż do Paryża. Było to możliwe jedynie wskutek najpierw osłabienia „polskiego przedmurza”, a następnie zniknięcia szlacheckiej Rzeczypospolitej z mapy politycznej kontynentu. Choć

na całe dzieje przedrozbiorowej Polski przypada nie więcej niż trzydzieści lat wojen polsko-tureckich oraz kilkadziesiąt lat zmagania polsko-moskiewskich, to jednak sens polskiej bariery polegał nie na bezpośrednich starciach militarnych, lecz na samym fakcie jej istnienia.

SKAZANA NA WIELKOŚĆ

Na skutek rozbiorów, które w tak wielu punktach zmieniły spojrzenie na przeszłość, *antemurale* wzbogaciło arsenał mitów narodowych, stając się zarazem jednym z narzędzi walki o odzyskanie niepodległości. Zasługi polskiego przedmurza dla Europy miały teraz zostać przez nią splecione. W zmienionych historycznie warunkach *antemurale* stawało się bastionem również przeciwko „wschodniemu barbarzyństwu” czy „azjatyckiej formacji”. W tym drugim charakterze dostrzegał zasługi przedmurza także obóz skrajnej lewicy, o czym ewidentnie świadczą między innymi wypowiedzi klasyków marksizmu. Zdecydowany rozbrat nastąpił po roku 1920, kiedy to przedmurze z antytureckiego (XVII wiek) i antyrosyjskiego (XIX wiek) zamieniło się z kolei w twierdzę, mającą chronić Europę, zachodnią cywilizację, jak również oparty na tych wartościach ład społeczny, przed „komunistycznym zalewem”. W tym też między innymi charakterze *antemurale* stało się obiektem burzliwych dyskusji, towarzyszą-



Pomnik Jana III Sobieskiego jako pogromcy Turków, fot. Maciej Skoczeń

Szarża polskiej husarii pod Chocimiem w 1671 roku,
 fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie



cych obchodom polskiego tysiąclecia. Jak każda wielka legenda historyczna, również ono nadawało się w szczególności do podkładania pod dawno ukuty termin coraz to nowych treści.

Hasło: Polska przedmurzem chrześcijaństwa, łączyło w sobie religię i politykę, treści doczesne i eschatologiczne, relikty średniowiecza z nowożytną doktryną równowagi politycznej, jaka jest niezbędna na naszym kontynencie. Z jednej strony *antemurale* wiązało się z ideą ligi antytureckiej, o której u nas tak wiele pisano, choć Rzeczpospolita weszła do niej dopiero w ostatniej ćwierci XVII stulecia. I wówczas zresztą polskie przedmurze nie straciło w istocie swego defensywnego charakteru. Z drugiej zaś strony, dzięki pewnym elementom krucjatowym (jakże często i chętnie pisano o odzyskaniu Ziemi Świętej), nawiązywało do ideologii czasów średniowiecza.

Polska ogłosiła się tarczą wspólnoty chrześcijańskiej w momencie, gdy wspólnota ta przestała już faktycznie istnieć. Pokój westfalski (1648), który ostatecznie zerwał z frazeologią wyznaniową w sprawach politycznych, u nas otworzył okres długich wojen ugruntowujących legendę polskiego przedmurza. Choć od czasu do czasu wspomniano, iż bronimy w ten sposób całą chrześcijańską Europę, więcej było w tym odwołań do wspólnoty interesów opartych na tożsamości wiary niż do świadomości europejskiej. I stało się tak, że w końcu przeciętny szlachcic uwierzył, iż broniąc południowo-wschodnich granic swego państwa przed Tatarami, Turcją czy Moskwą, tym samym stoi na straży całego chrześcijaństwa. Co więcej, zaskarbia sobie zasługi również w niebie, gdzie musi się znaleźć jako wierny i zasłużony rycerz przedmurza. Jego ojczyzna zaś z racji swego położenia jest „skazana na wielkość”.

MISJA I POŚWIĘCENIE

W ten sposób powstał typ myśli politycznej pozostającej w ostrym kontraście z jej rozwojem na zachodzie Europy, gdzie nagrodę (czy karę) w zaświatach dawno już przestano wpisywać w bilans spodziewanych zysków i strat oraz wierzyć w bezpośrednią ingerencję Opatrzności w bieg dziejów. Na taki sposób myślenia niezwykle silny wpływ wywarły ideologia religijna oraz tradycja historyczna, sięgająca od Legnicy (1241) po Wiedeń (1683). Podczas gdy w innych krajach ich położenie geograficzne miało stanowić jeden z argumentów przemawiających na rzecz realizmu politycznego, u nas aż po wiek XIX służyło ono tezie o szczególnym posłannictwie Polski, wyrażającym się w takim, a nie innym usytuowaniu jej przez Opatrzność na mapie Europy.

Ma przeto rację Lech Szczucki, twierdząc, iż idea przedmurza stanowiła w pewnym stopniu rodzaj utopii konsolacyjnej, *gdy szarpana kłękami Polska musiała znaleźć jakieś usprawiedliwienie swoich cierpień, słabości i – błędów*. Nieprzypadkowo w okresie, kiedy Rzeczpospolita była mocarstwem, hasłem przedmurza posługiwała się niemal wyłącznie dyplomacja, antyturecka publicystyka oraz wszelkiego rodzaju ulotna literatura polityczna. Nie sięgają do niego natomiast najwięksi ówczesni pisarze polityczni, tacy jak Andrzej Frycz Modrzewski, Jakub Przyłuski czy Andrzej Wolan. Dopiero w XVII stuleciu *antemurale* pojawia się w utworach poetyckich, by w następnych dwóch stuleciach trafić na poczesne miejsce w zarysach dziejów Polski, nie mówiąc już o historii Kościoła czy zbiorach kazań.

W czasie gdy pojęcie wspólnoty chrześcijańskiej stawało się coraz bardziej pustym dźwiękiem, a Europa dawno już zapomniała, iż powierzyła Polakom jakąś misję na wschod-

nich rubieżach kontynentu, ci pozostali wierni dawnym przekonaniom. Stąd się brało ich ogromne rozgoryczenie, gdy w krytycznym momencie Francja czy Anglia nie pospeszyły z pomocą polskiemu „przedmurzu”. W istocie jego los niewiele wzruszał zachodnioeuropejskie metropolie, zadowolone, iż w *Warszawie panuje spokój*.

Jan Lechoń w arcyciekawych pamiętnikach, spisanych już po drugiej wojnie światowej na emigracji, stwierdził, iż – po doświadczeniach rządów totalitarnych – obawia się państw, które głoszą, że mają do spełnienia pewną misję. Podstawowym zadaniem państwa jest bowiem *dać swym obywatelom maksimum dobrobytu i wolności*. Tylko tyle i – aż tyle. Przedmurze zaś było taką właśnie misją, zleconą przez Opatrzność Polakom, dumnym ze swego położenia na krańcach chrześcijańskiej Europy. Spory o nie zostały wpisane w wielkie dylematy narodowego losu. Dotyczy one bowiem naszego miejsca w wiekowych kontaktach (czy, jak chcą niektórzy: konfliktach) Wschodu z Zachodem, przyczyn zniknięcia Pierwszej (a następnie i Drugiej) Rzeczypospolitej z mapy politycznej kontynentu, wreszcie niektórych cech i przywar na stałe rzekomo zakodowanych w polskim charakterze narodowym.

Mit przedmurza był wpisany w dwa równoległe ciągi legend: narodowy i uniwersalny. Jego popularność doszła do apogeum w XIX stuleciu i ściśle się łączy z traktowaniem dziejów Polski jako ciągu nieustannych poświęceń dla ojczyzny oraz z przekonaniem o jej wyjątkowej roli w Słowiańszczyźnie, a Słowiańszczyzny w świecie. W istocie jednak mitowi *antemurale* odpowiadały do pewnego stopnia ideologie misyjne występujące również w historii innych krajów. Tak więc twórcy rewolucji amerykańskiej żywili przekonanie, że przypadło im w udziale stworzenie pierwszego na świecie wolnego narodu i państwa. W kilkanaście lat później rewolucyjna Francja głosiła, że na niej właśnie spoczywa obowiązek szerzenia w całej Europie z jednej strony zasad sprawiedliwości społecznej, z drugiej zaś przodującej pod każdym względem kultury francuskiej. W XIX i XX stuleciu wielu pisarzy angielskich (z Rudyardem Kiplingiem na czele) szczyliło się misją szerzenia cywilizacji białego człowieka na innych kontynentach świata, jaka przypadła w udziale ich właśnie ojczyźnie.

ŻYWOTNOŚĆ MITU

Można wprawdzie powiedzieć, iż zestawianie tych wszystkich doktryn z dziejami Polski jako przedmurza chrześcijaństwa oraz cywilizacji europejskiej nie jest w pełni uzasadnione, skoro we Francji, Anglii czy Stanach Zjednoczonych miały one żywot czasowo ograniczony, gdy tymczasem metryka terminu *antemurale* wynosi już przeszło 500 lat. Pod względem siły oddziaływania i długowieczności da się ona porównać jedynie z teorią Moskwy jako Trzeciego Rzymu. Różnica sięga jednak o wiele głębiej niż sam tylko okres trwania wiary w historyczną misję danego państwa czy narodu. Istota wydaje się polegać na tym, iż misje przypisywane sobie przez inne narody służyły przeważnie ich ekspansji na teren państw

sąsiednich (idea Trzeciego Rzymu), całej Europy (hasła rewolucji francuskiej) czy innych kontynentów (owe Conradowskie „placówki postępu”, tworzone przez białego człowieka w Azji i Afryce). Zaborczy i agresywny charakter nosiła tzw. idea jagiellońska w Polsce międzywojennej. Uzasadniając jej prawo do odbudowy dawnej państwowości, sięgającej „od morza do morza”, dokumentowała je między innymi rolą przedmurza odgrywaną przez szlachecką Rzeczpospolitą. Za jej czasów jednak *antemurale* nosiło niemal z reguły defensywny charakter. W XIX stuleciu zaś, w dobie niewoli narodowej, było rozpaczliwym krzykiem o pomoc Europy dla kraju, który ongiś stanowił jej miecz i tarczę.

W Rosji, Francji czy Anglii idea misji towarzyszyła podbojom kontynentalnym i kolonialnym; w zniewolonej Polsce *antemurale* nabierało mocy i blasku wraz z pogłębianiem się narodowych nieszczęść, było nurtem kompensacyjnym, odpowiedzią na ciąg przegrywanych powstań oraz następujących po nich represji. Podobnie jak powieść historyczna, służyło „pokrzepieniu serc” polskich. Misja mocarstw znajdowała pokrycie w aktualnych mapach politycznych świata, odnaleźć polskie przedmurze można było tylko w atlasach historycznych. Pamięć o nim krzepiła, ale równocześnie pozostawała poza obrębem realnej myśli politycznej. Żywotność tego mitu wynikała stąd, iż obok religijnego nosił on również charakter polityczno-światopoglądowy, który zresztą w XIX wieku zaczyna we wszystkich rozważaniach na temat *antemurale* wyraźnie brać górę.

Przedmurze co jakiś czas wraca na łamy naszej prasy, zarówno katolickiej, jak i laickiej. Pierwsza nadal eksponuje znaczenie pewnej misji, jaką jest obrona wiary i *określonej spuścizny kulturowej i narodowej, okupionej życiem i krwią wielu naszych przodków*. W pojęcie to bywa również wplatane przypomnienie o potrzebie wierności i posłuszeństwa wobec Rzymu oraz papieża. Z kolei prasa lewicowa absolutyzuje niejako problem przedmurza, widząc w nim pewien *constans* naszych dziejów, niezmiennie i w tragiczny sposób na nie wpływający.

W tej sytuacji niezbędne jest stałe zestawianie mitu przedmurza, ukutego w XIX i XX stuleciu, z dawnymi o nim wyobrażeniami. Przez mit rozumiemy tu pewien stereotyp wyobrażeń o przeszłości, w którym to stereotypie nastąpiło wyraźne przejście od białej do czarnej legendy *antemurale*. Obie zaś te legendy sprowadzają się do powłoczenia lakierem, wszystko jedno jakiej barwy, tej samej, barwnej i wielowymiarowej serii zdarzeń historycznych. Jak wynika ze współczesnych badań ankietowych, stosunek przeciętnego Polaka do zachodniej Europy pozostał nadal pełen nieufności. Dość powszechnie się uważa, że zdradziła nas parokrotnie w przeszłości, od zgody na rozbiory poczynając, a na Jałcie kończąc. Obecnie zaś zamierza nas „oszukać, zniewolić i wykorzystać”. Ma to być dowodem straszliwej niewdzięczności, skoro właśnie Polsce jako przedmurzu chrześcijaństwa Europa zawdzięcza ponoć swoje przetrwanie. □

Szczupak króla Stanisława i kuchnia z kalendarza

Za Sasów można było jeść, pić i popuszczać pasa. Istotnie, za panowania dwóch królów z dynastii Wettynów w polskiej kuchni działo się wiele. Rozwijało się piśmiennictwo kulinarne, wielokrotnie wznawiano najstarszą polską książkę kucharską, przepisy kulinarne coraz częściej pojawiały się w różnych poradnikach i zwłaszcza kalendarzach. W tym czasie w Polsce prawdziwe triumfy święci kuchnia francuska, na polskie stoły przebojem wdzierają się kawa, czekolada i cukier.

W czasach saskich kuchnia polska stała się w Europie modna. Jej sławę zawdzięczamy zawziętemu wrogowi Sasów, królowi Stanisławowi Leszczyńskiemu, teściowi króla Ludwika XV i księciu Lotaryngii. Na jego dworze w Nancy gotowało wielu słynnych francuskich kucharzy, a nadworny cukiernik króla Stanisława napisał jeden z najsłynniejszych traktatów cukierniczych epoki. W Wersalu i Paryżu w dobrym tonie było podawać np. szczupaka *à la Stanislas*, tak samo nazywane indycze skrzydła czy gołąbie oraz inne dania znane jako przyrządzane „po polsku” lub „po warszawsku”. Z francuskich książek kucharskich te polskie potrawy ruszyły potem nawet na podbój Ameryki.

W tym czasie nie wydano w Polsce żadnej nowej książki kucharskiej, ale w różnych poradnikach, przede wszystkim kalendarzach, pojawiało się coraz więcej informacji o kuchni. Dowiadujemy się z nich np., jak upiec chleb, przechowywać produkty przez zimę, przygotować ocet albo uwarzyć piwo. Nie brak w nich i malowniczych opisów uciekających z talerza kur, przyrządzania sztucznych robaków do mięsa czy robienia najdziwniejszych dowcipów kucharzom i biesiadnikom, ale większość dotyczy sfery praktycznej. W dziedzinie kulinarnej specjalizował się zwłaszcza jezuita Stanisław Duńczewski, który w swych kalendarzach zamieszczał też opisy różnych krajów, porady medyczne, ciekawostki i najróżniejsze informacje mogące zaciekawić dawnego czytelnika.

Wśród elit rozpowszechniły się napoje egzotyczne, zwłaszcza kawa i czekolada, oraz niezbędny do ich przyrządzania cukier. Pod koniec panowania Sasów było to już niemal obowiązkowe wyposażenie każdego szlacheckiego dworku. To, że polski szlachcic, a jeszcze częściej szlachcianka, zaczynali swój dzień od wypicia filiżanki arabskiej kawy obficie słodzonej amerykańskim cukrem i podawanej ze swojską śmietanką w chińskiej lub udającej chińską filiżance, pokazuje, że jedzenie zaczęło się globalizować. Jednak spożywanie używek i pochłanianie coraz większych ilości

cukru wcale nie oznaczało przy tym lepszej jakości jedzenia. Wbrew obiegowym opiniom o czasach saskich na pewno prowadziło to do ograniczenia pijaństwa, ale to już zupełnie inna historia.

SZCZUPAK PO POLSKU. NOWA PRZYSTAWKA DLA KRÓLA STANISŁAWA (PRZEPIS Z FRANCUSKIEJ KSIĄŻKI KUCHARSKIEJ Z 1734 ROKU)

Weż pięknego szczupaka jeszcze żyjącego i przetnij na połowę, następnie pokrój go na części po cztery cale szerokie, weź grubej soli i posyp ją po stronie łusek, tak aby wszystko było nią pokryte. Kwadrans później weź wrzącego octu, do którego wrzuć szczyptę pieprzu i polej tym po wierzchu, a nada to szczupakowi piękny błękitny kolor.

Włóż to do rondla albo do jakiego chcesz naczynia i gotuj razem z tymiankiem, bazylią, liściem laurowym, pietruszką, siekaną cebulką, goździkami i pieprzem, a wody wlej tyle, by było jej trzy palce ponad rybą, którą masz w to włożyć z całą tą przyprawą, w której się nasączała, gotuj ją na wielkim ogniu i podawaj z huskami. Zrób sos z niczego więcej jak tylko z masła, pół funta sardeli [anchois], podawaj je w osobnej misie.

MARCHEW NADZIEWANA MIĘSEM, KALENDARZ DUŃCZEWSKIEGO Z 1752 ROKU

Tę jarzynę różnie do używania i jadła kucharze sporządzają: ordynaryjnie, tak jako i inne; extraordinaryjnie, aby przyjemniejsza potrawa była, tak czynią. Grube marchwie biorą, szrodek wydrążają, po tym nadziewają ją cielecym mięsem z trochę słoniny młodej usiekawszy, biją do tego żółtek, albo dwa, rodzynków drobnych, soli trochę wysypawszy, smażą w maśle, aż zbrunatnieją, potem w mięsnej polewce to warzą, i tak dopiero do stołu dają. Skąd potrawa wielce ustom i żołądkowi jest przyjemna tak, a do tego zdrowa i sytna z różnemi przyzmiotami osobliwszemi. □

Architektura *civilis*

Równość szlachecka to jedna z zasad panujących wśród panów braci, zarówno żupanowych karmazynów, jak i szaraków, a podkreślanie swej wyższości było źle widziane u ogółu szlachty. Nie przeszkadzało to jednak szarakowi padać do jaśniepańskich nóg. Ci majątniejsi zaś manifestowali swoją pozycję strojem, dworem, zbytkiem i rezydencjami.

W XVII stuleciu radykalnie zmienił się charakter siedzib możnowładczych. Przede wszystkim powoli traciły obronny charakter. A jeżeli nawet był zachowany, to zamiast popularnych jeszcze w XVI wieku zamków stawiano rodzaj obronnych siedzib. Ze względu na swój włoski rodowód zwano je *palazzo in fortezza* i jedynie zwyczajowo określano jako zamki. Były to pałace posiadające elementy obronne, przede wszystkim umocnienia bastejowe lub bastionowe. Obok nich powstawały otwarte założenia pałacowe. Nawet jeżeli pojawiały się w nich jakieś elementy militarne (wieżycy, solidne ogrodzenia czy otaczająca główną siedzibę fosa), były one jedynie wyrazem przywiązania do tradycji. Obrony bowiem zapewnić nie mogły. Coraz częściej zamiast walorów obronnych zaczęto zatem podkreślać estetyczne; w siedzibie dostrzegano dzieło sztuki. Na rodowe gniazdo niekiedy adaptowano już istniejące budowle, co dawało możliwość podkreślenia starożytności rodu (to, czy było tak w istocie, pozostawało sprawą marginalną).

Stawiając nową rezydencję, sięgano do wzorów obcych. Początkowo zwykle włoskich, później francuskich, niekiedy także niemieckich. Nawet wówczas jednak ostatecznie starano się budowli nadać rysy *podług nieba i zwyczajaj polskiego*. I nie ma w tym nic dziwnego, bowiem, jak wyjaśnia Łukasz Opaliński, autor krótkiego przewodnika dla wznoszącego swą siedzibę szlachcica (niekoniecznie magnata): *Każdy albowiem naród ma sposób inak-szy i osobny budowania prywatnego, to jest „architecturae civilis”*. *I stosuje go wprzód do swego Nieba, a po tym do swego zwyczajajnego życia [...] słuszni tedy osobna „architectura civilis” ma być jako każdego narodu, tak i Polskiej. Bo kto chce po cudzoziemsku mieszkać, trzeba żyć po cudzoziemsku. A że trudno życie odmienić, które już dawny zwyczaj stwierdził, toć dom i mieszkanie do niego stosować potrzeba.*

Efekciarstwu często towarzyszył zaskakujący konserwatyzm, zwłaszcza gdy szło o nowinki techniczne ułatwiające codzienne życie i zapewniające wygodę. Ciepło zapewniały wspaniałe kominki i obite kurdybanami lub częściej tapiseriami ściany. Dawało to wrażenie niewyobrażalnego wręcz bogactwa, olśniewającego zwłaszcza zagranicznych przybyszów, którzy dostrzegali w tym orientalne naleciałości. Całość wewnątrz dopełniały galerie obrazów, przede wszystkim portretów członków rodziny. Tak oto w niektórych rezydencjach Zachód spotykał się ze Wschodem. W zależności od zasobności mnożono też pomieszczenia reprezentacyjne. Bogatsi wydzielali osobną salę jadalną, w najbogatszych rezydencjach pojawiała się sala służąca reprezentacji. Podobnie rzecz się miała z przestrzeniami prywatnymi. W najbogatszych domach składały się z całego ciągu pomieszczeń.

REZYDENCJA KRÓLA, WODZA I ZIEMIANINA

Świetnym przykładem rezydencji magnackiej jest pałac Jana III Sobieskiego w Wilanowie. Król nie przepadał za miejskim życiem i chętnie szukał wytchnienia z dala od miasta. Wilanów, początkowo bardzo skromna siedziba,



Fasada pałacu w Wilanowie,
fot. Wojciech Kalwat

Kościół Sakramentek na Rynku Nowego Miasta w Warszawie (projekt Tylmana van Gameren),
fot. Wojciech Kalwat



z czasem stał się wyrazem marzeń władcy o wspaniałej podmiejskiej rezydencji otoczonej ogrodami i gloryfikującej jego wojenne dokonania. Pracami architektonicznymi kierował Augustyn (Agostino) Locci. Nadbudowano piętro oraz dodano boczne galerie, które ujęto wieżami. Warto zwrócić uwagę na odmienne potraktowanie fasad: od strony dziedzica i ogrodu. Ta pierwsza, pełniąca funkcje reprezentacyjne, była monumentalna i zorientowana na wejście. Fasada ogrodowa, w typie rzymskim, była bardziej rustykalna. Pozbawiono ją podziałów architektonicznych na rzecz swobody dekoracji. Najważniejsze wnętrza reprezentacyjne na wzór siedzib wiejskich znalazły się na parterze. Po roku 1692 przeprowadzono kolejne prace, w których efekcie Wilanów przybrał bardziej dworski charakter. W rzeczy samej była to na wskroś barokowa rezydencja.

Najważniejsza była jednak symbolika budowli, której sielski charakter miał symbolizować spokój panujący w Rzeczypospolitej. Szczególną rolę w tej koncepcji pełniła wspaniała brama, nawiązująca do antycznej *porta triumphalis*. Gloryfikowała ona Sobieskiego jako tego, który dał Rzeczypospolitej pokój, oraz przypominała, że to właśnie zwycięstwa militarne zaprowadziły go na tron. Dodatkowo bezpieczeństwo kraju pod rządami króla symbolizował mur parkowy. Kluczowe w tym programie stały się stojące na filarach postacie Marsa i Wiktorii. Mars jest w rzeczywistości ukrytym portretem Sobieskiego: nosi taką samą zbroję jak monarcha wyobrażony na pomniku stojącym w Wielkiej

Sieni. Narzucony na nią płaszcz może przypominać rzymskich cesarzy. Jan III nie tylko chroni Rzeczpospolitą, ale również walczy o starożytne ideały. I, jak sugerują atrybuty postaci kobiecej, odnosi w tej walce wieczne zwycięstwo, które przetrwa dzięki zgodzie mającej zapanować w państwie. W tym duchu odczytać można całość bogatej wilanowskiej dekoracji.

Wilanów to oczywiście jedna z wielu królewskich fundacji. Szczególnie interesująco przedstawia się inna budowla – gdańska kaplica królewska. Powstała w latach 1678–1681, budowniczym był Bartel Ranisch. Budowla ujęta dwiema kamieniczkami jest założona na planie prostokąta, sprawia jednak wrażenie centralnej. Sama kaplica znajduje się na piętrze, ale zostaje to całkowicie ukryte w fasadzie. Patrząc na nią, można zresztą odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z niewielkim pałacem, a nie budowlą sakralną.

Obok rodowej siedziby szczególnie ważne było wzniesienie pałacu lub dworu w stolicy. Służył wówczas wygodzie podczas niejednokrotnie długich pobytów w Warszawie, jednocześnie podkreślając zasobność właściciela. Niekiedy postawienie takiej siedziby zapewniało też oszczędności. Warszawa cierpiała bowiem w XVII stuleciu na ciągłe braki lokalowe. Szczególnie trudno było znaleźć odpowiednią siedzibę na czas sejmów i elekcji, a ceny były niebotycznie wysokie. Rezydencję (miejską bądź podmiejską) można było wynajmować innym podczas swojej nieobecności, co mogło dawać całkiem niezły dochód. Niestety, niewiele z tych wspaniałych budowli dotrwało do naszych czasów.

GAMERSKI, CZYLI VAN GAMEREN

Warto pamiętać o architekcie Tylmanie Gamerskim (1632–1706), czyli Tylmanie van Gameren. W Wenecji znaleźli go Lubomirscy, a następnie sprowadzili do Polski. Niedługo po przyjeździe, będąc na ich usługach, przystąpił do rokoszu Jerzego Sebastiana Lubomirskiego. W roku 1666 wziął udział w tragicznej bitwie pod Mątłami, gdzie jako inżynier wojskowy opiekował się artylerią. Nie była to jego jedyna wojskowa przygoda. Pełniąc podobne funkcje, brał udział w walkach z Turkami pod Chocimiem i w wyprawie Sobieskiego pod Wiedeń. W roku 1672 Michał Korybut Wiśniowiecki mianował go nadwornym architektem, a w 1676 roku, podczas koronacji Jana III Sobieskiego, otrzymał tytuł Kawalera Złotej Ostrogi. Nobilitację szlachecką i nadanie herbu sejm potwierdził dziewięć lat później.

Trwałe miejsce w historii zapewniły mu jednak nie tyle prace na rzecz wojska, ile budownictwo rezydencjonalne. Gamerski był bowiem najwybitniejszym i najoryginalniejszym twórcą w Rzeczypospolitej. Był też niezwykle pracowity – pozostawił ponad 70 obiektów. Większość powstała w stolicy, dlatego nazwano go architektem Warszawy. Na prowincji zbudował dla Lubomirskich m.in. pałac letni w Rzeszowie, ale zatrudniali go także nieco mniej zamożni szlachcice. Projektował niemal wszystko: od dworców (niekiedy drewnianych) przez fontanny i pawilony ogrodowe aż po dekoracje okolicznościowe ślubów i nagrobki. Znany jest nawet jego projekt szaletu miejskiego dla Warszawy.

Gamerski był głównie projektantem, a nie wykonawcą. Czasem odbijało się to negatywnie na poziomie wznoszonych obiektów, nie każdy bowiem potrafił zrealizować wyobrażenia mistrza. Jednak dzięki temu Gamerski miał czas na kreślenie planów. Był przy tym niezwykle dokładny i nie pozwalał, by swobodna wyobraźnia zapanowała nad chłodną kalkulacją. Jego architektura jest wysmakowana i głęboko przemyślana. Charakterystyczne jest dla niej pewne uspokojenie wybujających form dojrzałego baroku oraz wyraźne dążenie do harmonii.

Pojawia się wówczas w sztuce polskiego baroku nurt klasycyzujący, któremu hołdują przede wszystkim Lubomirscy, Krasińscy i dwór królewski. Tylman doskonale odpowiadał na te zapotrzebowania. Oprócz tego istniała oczywiście niezwykle popularna bogata sztuka w typie baroku Wazów. Jednocześnie coraz większego znaczenia nabiera idea *Gesamtkunstwerk* – dzieła totalnego. Wyraźne stało się dążenie do jedności sztuk. Malarstwo, rzeźba i architektura miały tworzyć jednolitą całość, o zacierających się granicach. Stiuki niepostrzeżenie przechodziły w architekturę, malarstwo stawało się trójwymiarowe. Teatr iluzji osiągnął swoje apogeum.

Najstarszą znaną realizacją Tylmana był pałacyk Lubomirskich w Puławach o *quasi*-obronnej architekturze, ze wspaniałym tarasem widokowym otwierającym się na ogród. Spalony przez Szwedów, dzisiejszy wygląd zawdzięcza rodzinom Sieniawskich i Czartoryskich. Szczególnie interesującym elementem był trójkątny szczyt znajdujący się nad wejściem, echo antycznej świątyni. Wsparty na kolumnach, był niezliczone razy powtarzany w polskich dworach i pałacach.

Jedną z najbardziej znanych budowli wzniesionych w Warszawie przez Tylmana było nieistniejące już dzisiaj założenie architektoniczno-urbanistyczne nazwane *Marie-Ville* czyli *Marywil*. Zostało wzniesione z inicjatywy Marii Kazimiery, która chciała w ten sposób uczcić czyny wojenne Jana III Sobieskiego. Nie była to pierwsza realizacja na zlecenie Sobieskich. Już wcześniej Tylman zbudował m.in. letnią willę będącą jednocześnie pałacykiem myśliwskim dla Marii Kazimiery, zwaną *Marie Mont* (*Marymont*).

Marywil można nazwać poprzednikiem współczesnych centrów rozrywkowo-handlowo-noclegowych. Zjeżdżali się doń zamożni szlachcice i kupcy, nie brakowało cudzoziemców. Wśród różnych funkcji był bowiem pierwszym hotelem w Rzeczypospolitej. Nocowano wówczas w karczmach, a poziom świadczonych usług zazwyczaj pozostawał

Pałac w Nieborowie, wzniesiony wg projektu Tylmana van Gameren, fot. Wojciech Kalwat



wiele do życzenia. Jak opisał to z pewną przesadą lekarz i podróżnik Jan Jakub Kausch: *Podróżny nie ma co marzyć o gościnnym pokoju, o łóżku, nie może nawet liczyć, że zaspokoi głód. Zajazd w mieście czy na wsi tym tylko różni się od zwykłego domu, że składa się z jednej wielkiej izby z kominem i ma wielką stajnię dla koni podróżnych. Kto przywiezie z sobą znaczny zapas żywności i inne niezbędne przedmioty, może oczywiście liczyć na zabezpieczenie pozostałych drobnych potrzeb; kto jednak tego nie uczyni, dotkliwie poczuje braki na każdym kroku.*

Jednocześnie *Marywil* był królewską rezydencją, a olbrzymi dziedziniec w razie potrzeby stanowił oprawę dla odbywających się uroczystości. Został wybudowany na terenie zburzonych w trakcie szwedzkiego najazdu żup solnych, na miejscu dzisiejszego Teatru Wielkiego. Dziś, przechodząc przez wymarły plac, służący głównie za parking samochodowy, trudno sobie wyobrazić, że było to jedno z najchętniej odwiedzanych miejsc w stolicy. *Marywil* powstał w ostatnim dziesięcioleciu wieku XVII, po ok. 130 latach został rozebrany. Był to pięciokątny budynek o czterech skrzydłach połączonych galerią, opinający olbrzymi dziedziniec. Całość miała ujednoliconą architekturę i doskonale dopracowane elementy funkcjonalne. Na parterze znajdowały się sklepy i pomieszczenia usługowe, na piętrze apartamenty rodziny królewskiej oraz osobne pomieszczenia mieszkalne. Ku niezadowoleniu warszawskich kupców lokale wynajmowano cudzoziemcom. Na osi założenia, naprzeciw bramy wjazdowej, stała kaplica Matki Boskiej Zwycięskiej, wzniesiona w latach 1695–1703. Stanowiła *votum* za wiedeńską wiktoryę, a jednocześnie określała ideowy sens założenia jako trwałe pomnik królewskiej chwały. Całość była inspirowana podobnymi założeniami francuskimi, jak np. paryski *Palace Royale*. Łącząc wysmakowaną estetycznie formę z nowoczesnością i funkcjonalnością, *Marywil* stanowił doskonały przykład wielkości myśli architektonicznej Tylmana van Gameren. □

Pieniądz na trudne czasy

Panowanie Jana Kazimierza to nie tylko czas kryzysu politycznego i wojskowego. To także okres upadku polskiego pieniądza. O jego skali świadczą miliony niepełnowartościowych złotych nazywanych tymfami, bezwartościowych szelągów – boratynek, i mnóstwa ich podróbek.

R ujujące wojny z połowy XVII wieku wymagały wielkich nakładów finansowych, tym bardziej że były toczone na własnym terytorium. Mennice, które w początkach rządów Jana Kazimierza były wartościową monetą, zostały zamknięte lub zdezastrowane przez szwedzkich najeźdźców. Nie dość tego. W niektórych z nich, jak w Elblągu czy Krakowie, Szwedzi bili niepełnowartościowy pieniądz okupacyjny. Cel tego procederu był jeden – zysk.

Potrzeby prowadzenia wojny i konieczność zapełnienia pustego skarbcza, do którego nie wpływały podatki ze zrujnowanego kraju, doprowadziły do przyjęcia propozycji zarządcy mennicy krakowskiej Tytusa Liwiusza Boratiniego. Aby uregulować wielkie długi wobec wojska, opracował on plan produkcji niepełnowartościowego pieniądza miedzianego. Włoch kusił perspektywą dużego zysku. Z przecięcia funta miedzi miano uzyskać 300 szelągów liczonych na 100 gr. 15 gr miało stanowić zysk mienicza, 28 gr to koszty mienicze i surowca, a aż 58 gr miało trafiać do państwowego skarbcza. W 1659 roku ruszyła produkcja szelągów. Szybko okazało się jednak, że bicie boratynek, bo tak nazywano nowe monety, daleko odbiega od ustalonych limitów. Na głowę

sprytnego Włocha posypały się gromy, krytyka uderzała także w króla. To jednak nie mogło zatrzymać produkcji – potrzeby państwa okazały się ważniejsze i do obiegu trafiały kolejne miedziane szelągi. Szacuje się, że krajowy rynek zasypano 10–20 mln zł w tej monecie (1–2 mld boratynek). Nie koniec na tym. Chaos na rynku monetarnym postanowili wykorzystać fałszerze, wprowadzając do obiegu kolejne miliony monet.

Zalew szelągów i ich fałszywek zwanych klepaczami doprowadził do spadku wartości boratynek i zjawiska podwójnych cen. Inne były ceny w monecie miedzianej, inne w srebrnej. W 1662 roku do ceny kupna doliczano 15 proc. przy transakcjach w boratynekach. Dwa lata później było to już 20 proc., a w 1666 roku aż 70 proc.

TYMF, CZYLI ŻŁOTY

Miedziany pieniądz nie zaspokoił potrzeb skarbcza. Podchwycyło więc nowy pomysł Andrzeja Tymfa. Ten superintendent mennic koronnych opracował plan wprowadzenia na rynek niepełnowartościowej monety srebrnej. Nowy pieniądz, wart nominalnie 30 gr, a więc 1 zł, w praktyce był warty zaledwie 12–18 gr. To świadome oszustwo usprawiedliwiano napisem



Drobne monety Jana Kazimierza (od góry): boratynka koronna i litewska oraz tymf, fot. Wojciech Kalwat

na awersie monety: DAT PRETIUM SERVATA SALUS POTIORQ3 METALLO EST, co można tłumaczyć: wartość tej monety nadaje zbawienie ojczyzny, które jest więcej warte od metalu. Odbiorcy szybko zorientowali się w sytuacji; królewskie inicjały ICR (*Ioannes Casimirus Rex*) zaczęto tłumaczyć jako *Initium Calamitatis Regni*, czyli początek nieszczęść królestwa. To szydercze tłumaczenie oddawało stosunek społeczeństwa do nowej złotówki – notabene pierwszej monety złotej w dziejach Polski, bo do tej pory była ona zaledwie jednostką obrachunkową.

Tymfy ubożyły ludność, przyniosły jednak spore dochody zarówno królowi, jak i samemu Tymfowi. Jednak ludzie przyjmowali je niechętnie, a nader liczne głosy oburzenia zmieniły się w oskarżenia polityki króla zmierzającego do wzmocnienia władzy. Krytyka tymfów i boratynek była więc w istocie krytyką monarchy. Jednak nowe pieniądze były skutkiem, a nie przyczyną kryzysu. Tak czy inaczej, emisja tak znacznej ilości boratynek i tymfów rozchwiała rynek monetarny i w konsekwencji doprowadziła do wielkiego kryzysu. Z jego skutkami nie potrafiło sobie poradzić przez następne kilkadziesiąt lat.

SZÓSTAKI KRÓLA JANA

Boratini i Tymf byli oskarżani o wyszanie z rynku srebra i złota oraz zalanie kraju podłą monetą. Sporo w tym racji. Pamiętać jednak należy, w jakich okolicznościach były produkowane te pieniądze. Sejmy za Jana Kazimierza i jego następców postulowały, by uporządkować rynek monetarny. Łatwiej było jednak podejmować uchwały, niż je wprowadzać w życie. Przykładem niech będą szelągi Michała Korybuta Wiśniowieckiego pochodzące z mennicy



Szóstak Jana III Sobieskiego, fot. Wojciech Kalwat

toruńskiej, które zawierały zaledwie połowę deklarowanej zawartości srebra.

Brak zaufania do krajowej waluty potęgował zalew pieniądza obcego, zarówno tego fałszywego i podłego, jak i będących w powszechnym użyciu holenderskich talarów lewkowych. Stan ten nie zmienił się także po objęciu tronu przez Jana Sobieskiego. Królewskie mennice puściły w obieg w miarę dobre monety: orty, trojaki i szóstaki. Te ostatnie można wręcz uznać za symbol panowania zwycięzcy spod Wiednia. Nie odznaczały się poziomem artystycznym, ale za to podwyższoną stopą menniczą. Dla krajowego



Monety Augusta III
Wetyna (od lewej):
talar i miedziany szeląg,
fot. Wojciech Kalwat

odbiorcy to wcale nie była dobra wiadomość. Polskie monety, przewyższające jakością pieniądze produkowane w państwach sąsiednich, na powrót zaczęły odpływać z kraju. W 1685 roku szlachecy ekonomiści podjęli więc decyzję o zamknięciu polskich i litewskich mennic. Doprowadziło to do sytuacji niesłychanej: krajowe mennice nie wytwarzały pieniądza przez następne kilkadziesiąt lat, aż do początków panowania Stanisława Augusta! Kursujące boratynki, tymfy czy monety króla Jana były najdłużej legalnie pozostającymi w obiegu pieniędzmi w historii Polski. Za czasów panowania Jana III Sobieskiego na rynek trafiła niewielka ilość monety grubej: talarów i dukatów. Było ich niewiele i nie wpłynęły na stosunki monetarne w kraju.

PIENIĄDZ SASKO-POLSKI

Konstytucje sejmowe z 1685 roku zabraniały polskim władcom bicia polskiego pieniądza. Nie znaczy to, że dla Rzeczypospolitej nie produkowano pieniędzy. Bito je, tyle że w Saksonii. I trzeba przyznać, że były one przyjmowane z ukontentowaniem, tym bardziej że odznaczały się urodą i dobrą jakością. Nie przejmowano się faktem, że monety, na których na jednej tarczy herbowej widniał herb Saksonii i Rzeczypospolitej, w zasadzie były nielegalne. Liczyła się potrzeba rynku, który potrzebował pieniędzy.

Podczas sejmiku 1717 roku, zwanego niemym, dokonano pewnego uporządkowania systemu monetarnego. Wobec panującego chaosu monetarnego i olbrzymiej różnorodności kursujących monet sejm uchwalił ceny „pieniądza dobrego”. Zatwierdzono wówczas wcześniejszą zasadę, że moneta litewska jest równa koronnej. Ustalono cenę dukata na 18 zł (1620 szelągów). Przyjęta relacja złota do srebra (1:13,85) stała się przyczyną odpływu z Rzeczypospolitej najpierw złotej, a później srebrnej monety – stosunek tych metali na zachodzie Europy był korzystniejszy, wynosił 1:15,07.

August III nie przejmował się konwenansami i mimo obietnicy zawartej w *pactach conventach*, że nie będzie podejmował produkcji menniczej, rzucił na polski rynek olbrzymie ilości pieniądza opatrzonego polskim stemplem. W zasadzie było to fałszerstwo, którego celem był zysk monarchy.

W 1749 roku, nie zważając na *pacta conventa*, władca zezwolił na wybite w Dreźnie próbnej partii miedzianych szelągów dla Rzeczypospolitej. Puszczane w obieg pieniądze były rozchwytywane przez ludność cierpiącą z niedoboru monety. To zachęciło Augusta III do dalszej działalności. Pełną parą ruszyły mennice w Dreźnie, Gubinie i Grünthalu, dając krajowi potrzebny pieniądz, a królowi zysk. Produkcja miedzianych szelągów i groszy przynosiła spore dochody,

obliczane na 680 tys. zł. Zachęcony tym sukcesem August III w 1752 roku uruchomił intratną produkcję srebrnych i złotych pieniędzy koronnych w mennicy w Lipsku.

FALSZERSTWO NA NIESPOTYKANĄ SKALĘ

Dobrze prosperujący interes menniczny przerwał król Prus Fryderyk II. Z uwagą przyglądał się praktykom saskich spekulantów w Polsce i poszedł za ich przykładem. Najpierw zaczął puszczać w obieg specjalne monety (zabronione w Prusach) bite w bankiersko-fałszerskiej spółce Efraim-Itzig, które, choć były opatrzone pruskim stemplem i imieniem króla Prus (FRIDERICVS II BORVSSORVM REX), łudzaco przypominały monety Augusta III. Nie można im zarzucić fałszerstwa, co najwyżej oszukaństwo, ponieważ posiadały o wiele mniej srebra niż saskie odpowiedniki. Srebrnymi (a w zasadzie posrebrzonymi) tymfami, ośmiogroszowymi dwuzłotówkami, szóstakami, trojakami, groszami i złotymi augustorami płacono za polskie towary, a za należność żądano wyłącznie dawnej polskiej waluty. W ten sposób wywożono z Rzeczypospolitej dobry pieniądz i z zyskiem przetapiano w Prusach.

Sytuacja pogorszyła się w czasie wojny siedmioletniej (1756–1763). Po ataku na Saksonię w zdobycznych saskich mennicach Fryderyk II już bez bawienia się w udawanie w olbrzymich ilościach produkował absolutnie fałszywe monety, bite stemplem Augusta III. O skali psucia pieniędzy najlepiej świadczy fakt, że z grzywny srebra August III bił osiem talarów, a Prusacy 14.

Z czasem ta liczba się zwiększała. W 1757 roku było to już 19 talarów, w 1759 roku 25, a w latach następnych aż 30–40 talarów z jednej grzywny! Wiele srebrnych monet było nimi tylko z nazwy.

Ten proceder, choć mało zaszczytny, był niezwykle dochodowy i przyniósł pruskiej machinie wojennej zysk w wysokości 25 mln talarów, czyli ok. 200 mln zł. A wszystko to kosztem polskiego rynku pieniężnego: w Rzeczypospolitej szalała inflacja, z rynku zniknęła dobra moneta, gospodarka popadała w ruinę. Na nic się zdały protesty nieuczestniczącej przecież formalnie w wojnie Rzeczypospolitej ani wzmożone kontrole graniczne.

Losy polskiej waluty odzwierciedlały kondycję polsko-litewskiego państwa. Kiedy Rzeczpospolita znajdowała się u szczytu potęgi, jej waluta była stabilna i stała na wysokim poziomie artystycznym. Wraz z upadkiem kraju waluta stawała się coraz słabsza. Wreszcie stała się przedmiotem spekulacji, a korzyści z tego wyciągali fałszerze, ich pomocnicy i sąsiednie państwa. □



Fałszywa moneta o nominale 6 gr ze stemplem Fryderyka II, fot. Wojciech Kalwat

Orientalizm ubioru

Strój polski, podobnie jak moda zachodnioeuropejska, choć może nieco wolniej, podlegał stopniowej ewolucji i modnym przemianom. W drugiej połowie XVII wieku w wyglądzie szlachcica Sarmaty dały się zauważyć istotne zmiany; znać tu wzmożone wpływy perskie i tureckie.

Zmiany przejawiały się w upodobaniu do ostentacyjnego przepychu i dekoracyjności. Mężczyźni nie tylko nosili długie i fałdzone stroje o orientalnym kroju, ale także chętnie sięgali po broń i ozdoby wschodnie. Rozpowszechniły się one zwłaszcza w okresie wojen tureckich i triumfalnych zwycięstw Jana III Sobieskiego. Zdobywane w walce, stały się symbolem męstwa i cnót wojskowych, a ich noszenie nie tylko było przejawem mody, ale też znamionowało obrońców wiary chrześcijańskiej. Przez to były tym bardziej pożądane. Niedostatek łupów wojennych uzupełniano na drodze wymiany handlowej, sprowadzając różnorodne wschodnie towary, m.in. za pośrednictwem kupców ormiańskich. Szybko też zaczęto produkować na miejscu ich kopie. Ważnym elementem stroju polskiego stała się wtedy lekka szabla z charakterystyczną rękojeścią w formie stylizowanej głowy orła, tzw. karabela – pochodząca najprawdopodobniej z Turcji i początkowo importowana, a później również produkowana w miastach na wschodnich kresach Rzeczypospolitej. W wersji paradejowej była ona bogato zdobiona srebrem, złotem, kamieniami półszlachetnymi i kością słoniową. Z czasem zyskała znaczenie jednego z narodowych symboli.

W drugiej połowie XVII wieku wzrósł import tureckich i perskich jedwabnych wzorzystych pasów przetykanych złotymi i srebrnymi nićmi (tzw. litych), które w następnym stuleciu stały się nieodłącznym elementem reprezentacyjnego ubioru polskiego szlachcica. Rzadko widzimy je na portretach z tego okresu, ale o ich rosnącej popularności świadczą zachowane spisy ubiorów królewskich, szlacheckich, a także mieszczańskich. Posiadał je w swojej garderobie Jan III Sobieski,

w zasadzie jedyny polski monarcha (z wyjątkiem ubierającego się w podobny strój węgierski Batorego), który niemal przez całe życie pozostawał wierny rodzimemu strojowi, a jeśli sięgał po ubiory zagraniczne, to wschodnie. Z ciekawością śledził informacje o tym, co nosi się na Krymie i w Stambule, a w kolekcjach muzealnych, m.in. w Budapeszcie, zachowały się jego kaftany o fasonach znanych z mody tureckiej. Niestety, oglądając wizerunki tego monarchy, nie możemy stwierdzić,



Karabela, w XVII wieku ważny element szlacheckiego stroju, fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Portret Tomasza Zamoyskiego, fot. Wojciech Kalwat

jak Sobieski ubierał się na co dzień, gdyż najczęściej portretowany był w antykizującej zbroi, w jakiej od czasów renesansu ukazywano bohaterów i zwycięskich wodzów. Rzadziej widzimy go w żupanie i narzucanej na ramiona staroświeckiej purpurowej delii lub ferezji, w tym czasie stanowiącej już tylko ubiór reprezentacyjny. W bitwie pod Wiedniem król wystąpił w bardziej funkcjonalnym ubiorze, składającym się ze spodniego białego żupana i wierzchniego szarego lub niebieskiego kontusza, o czym wspominają świadkowie – pokojowiec królewski Mikołaj Dyakowski i poeta Wespazjan Kochowski. Ówczesnej modzie z pewnością odpowiadają natomiast fryzura i zarost znane z portretów Sobieskiego – podgolona na okrągło głowa i sumiaste wąsy.

Męski ubiór codzienny w tym czasie uległ znacznemu ujednoliceniu i pewnej uniformizacji – analogiczne zjawisko dotyczy także ówczesnej mody zachodniej. Różne okrycia wierzchnie znane z XVI stulecia zostały już w latach trzydziestych i czterdziestych wyparte przez kontusz, często szamerowany na piersiach, a w wersji zimowej podbijany futrem. Dopiero pod koniec stulecia zaczęto rozciąć jego rękawy, które można było odrzucić w formie malowniczych wylotów. Jednak najbardziej charakterystyczną cechą kontusza stanowi krój pleców z przedłużającym je do samego dołu prostokątnym wąskim pasem tkaniny, tzw. słupem, do którego doszywano ułożone w fałdy kloszowo skrojone poły. Podobny krój pleców zaczęto stosować także w żupanie, toteż oba ubiory zyskały zbliżony fason, z tym że wierzchni kontusz był obszerniejszy. Najmodniejsze żupany miały w tym czasie bardzo wąski kołnierzyk i sięgały do kostek; coraz częściej też ozdobne metalowe lub pasmanteryjne guzy zaczęto zastępować skromnym krytym zapięciem. Również kontusz miał kołnierzyk w postaci wąskiej listewki, której jednak nie zapinano pod szyją, lecz wywijano na boki.

SZATY CYNAMONOWE

Pod koniec XVII wieku zmieniła się także kolorystyka stroju – z mody wyszło szycie ubioru spodniego i wierzchniego w tej samej barwie, a zamiast czerwieni chętnie używano bardziej stonowanych kolorów „korzennych” (np. „cynamonowego” lub „pieprzowego”). Pewna dowolność panowała natomiast w sposobie noszenia pasa, który można było obwiązać zarówno na spodnim żupanie, jak i na wierzchnim kontuszu.

Kiedy w stroju męskim postępowała wtórna orientalizacja, ubiory kobiece coraz bardziej zbliżały się do wzorców zachodnich. Polskie magnatki szybko zaczęły naśladować sposób ubierania się dworu Marii Ludwiki Gonzagi, a później Marysieńki Sobieskiej. Za ich przykładem poszły również szlachcianki i mieszczyki, choć ich strój jeszcze długo był bardziej zachowawczy. Zwłaszcza że znaczne zubożenie gospodarze kraju spowodowane licznymi wojnami nie sprzyjało podążaniu za modą. W drugiej połowie XVII wieku upowszechniły się jednak w Rzeczypospolitej suknie z dopasowanym fiszbinami stanikiem, dużym dekoltem i bufiastymi rękawami do łokcia. I choć



Maria Kazimiera z córką Teresą Kunegundą, mal. Jerzy Eleuter Szymonowicz-Stemiginowski, ok. 1690, Muzeum Pałac w Wilanowie, fot. Z. Reszka

moralisci, w tym Wacław Potocki, utyskiwali, że *na ponętę żądzy wdowy i mężatki/ Ukazują i piersi i nagie łopatki*, większość Polek przysłaniała skromnie dekolt rąbkami koszuli lub płóciennym kołnierzem. Codzienne stroje miały jednak bardziej funkcjonalny charakter, dostosowany do chłodniejszego niż francuski klimatu. Bardzo popularne były ubiory, które można określić jako pierwowzór współczesnego kostiumu, a mianowicie spódnice noszone wraz ze zbliżonym do męskiego kaftanem, we Francji popularne w latach trzydziestych i czterdziestych XVII stulecia, w Polsce rozpowszechnione nieco później pod nazwą *alamoda*, a do tego często podbijane futrem. Polki zaadaptowały też do stroju codziennego *szustokor* – męski wierzchni kaftan, modny na Zachodzie od lat sześćdziesiątych XVII wieku. Na co dzień wiele szlachcianek nosiło spódnice z zakładaną na koszulę kamizelką-gorsetem bez rękawów, nazywaną *westa* i obszytą galonami lub metalowymi koronkami, a więc ubiór, który na wsi przetrwał aż do XX wieku.

Mężatki nadal ukrywały też włosy, choć już nie tak szczerlnie jak na początku XVII wieku. Spod małego czepeczka obrzeżonego koronką często widać było modnie ufryzowane loki. Na wierzch nakładano jednak dodatkowo czarny kapturek i niewielki kołpaczek z futrzaną opuszką. Moda zachodnia nie była w stanie dostarczyć wzorów ciepłych okryć zimowych stosownych do polskiego klimatu, toteż nawet królowa Marysieńka Sobieska musiała nosić podbite kosztownymi futrami szubki i ciepłe nakrycia głowy. □